

Rok 1831. Wtedy to pewnej listopadowej nocy przyszedłem na świat. Nazywam się Janusz Radziwiłowicz herbu Staroszyn i opowiem Wam swoją historię. Urodziłem się w małej wsi Staroszyny 150 km od Warszawy. Były to czasy po powstaniu listopadowym, więc wychowywała mnie sama matka. Ojciec musiał uciekać do Francji po nieudanym zrywie narodowym. Niestety niedane było mi go poznać. Mieszkaliśmy z matką w małym, jednakże przepięknym dworku z kilkoma służącymi.

Dzieciństwo upłynęło mi na szalonych zabawach i budowaniu zamków z piasku. O, jakże mile wspominam ten czas...

Moja młodość jednak już tak wspaniale nie przebiegała. Rozczarowujące młodzieńcze miłości, dni pełne awantur i bijatyk, przysłaśniały mi to, co jest naprawdę ważne w życiu. Jak każdy młodzieniec jeszcze tego nie dostrzegałem.

Gdy skończyłem pobliską szkołę parafialną prowadzoną przez Jezuitów, postanowiłem wyruszyć do Warszawy. Umialem płynnie mówić, pisać i czytać zarówno w języku ojczystym, jak i po łacinie. Moją decyzję o opuszczeniu rodzinnego dworku przyspieszył fakt, że nasz skarbiec był zupełnie pusty. Miałem to szczęście, że kuzyn z Warszawy z chęcią ugościł mnie w swych progach. Był to człek zupełnie innego usposobienia niż ja sam. Spokojny, rozważny, stroniący od kłopotów, innymi słowy idealny mąż, ojciec i syn. Dzięki jego pomocy mogłem spokojnie rozejrzeć się za pracą, która postawiłaby mnie na nogi. Tak to zatrudniłem się w kancelarii Pana Bogusława Raczewskiego, człowieka niezwykle dumnego i wyniosłego. Z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że byliśmy do siebie bardzo podobni, aż za bardzo. Spędziłem kilka ładnych lat pracując jako sekretarz, więc z czasem sam postanowiłem zostać prawnikiem. Był to cel ambitny. Boże! Jakże moja matka się cieszyła, że będę prawnikiem! Nie zdążyłem jednak zrealizować swoich planów, gdyż właśnie w roku pańskim 1963 wybuchło powstanie. Jakże niespodziewane choć upragnione. Ileż to razy słyszałem od najstarszych mężów jaka to nasza Rzeczpospolita była kiedyś wspaniała. Teraz to wszystko miało wrócić i być nasze. Z zapalem przystąpiliśmy do walki w słusznej sprawie. Potyczka za potyczką, rana za raną a Moskali coraz więcej. Z czasem było coraz gorzej. Zapal do walki osłabł, sił było coraz mniej, wszystko zmierzało ku najgorszemu. Widok umierających przyjaciół osłabiał nas najbardziej. Byliśmy wyczerpani. Powstanie objęło tylko ziemie Królestwa Polskiego i tereny Ziem Zabrzanych. Nikt inny się do nas nie przyłączył. Zrozumieliśmy, że powstanie zmierza ku upadkowi. Choć serce nam krwawiło, a duma i honor nie pozwalały opuścić ojczyzny, poddaliśmy się...

**Rok 1865, rok nadziei i wielkiego...**

Przyłynęliśmy do Nowego Jorku tuż po nowym roku. Podróż trwała kilka tygodni i nie obyło się bez sztormów. Nieszczęsna przypadłość, zwana chorobą morską, nie ominęła mnie również. Koniec końców, dotarliśmy do celu, ja i trzech moich wiernych kompanów. Niestety, rzeczywistość okazała się brutalna. Żaden z nas nie znał języka, a moja łacina, która w kraju budziła uśmiech na wielu twarzach, tutaj okazała się zupełnie bezwartościowa. Nawet moje szlacheckie pochodzenie nie pomogło. Pierwsze kroki stawialiśmy w małej dzielnicy polskiej, o ile można ją tak nazwać, mając na myśli kilkunastu sąsiadów mieszkających koło siebie. Jak się okazało, z jednego piekła trafiliśmy w drugie. W Stanach Zjednoczonych panowała wojna domowa. Jakież to los wysłał nas emigrantów z jednego ogarniętego wojną kraju do drugiego? Jednakże wojna dobiegała do końca. Wygrana Unii była przesądzona, było to kwestia zaledwie kilku miesięcy. Do zakończenia wojny żyliśmy w Nowym Jorku, najszybciej rozwijającym się mieście świata jak zwykle szczury. Wreszcie wojna się skończyła, czarni byli wolni. Abraham Lincoln zniósł niewolnictwo. Od tego momentu wszystko ruszyło do przodu. Czas, aby wszystkie marzenia i obietnice związane z tym krajem zaczęły się spełniać. Zaczęliśmy budować lepsze jutro. Przyjęto nas do piekarni. Była to praca ciężka dla nas intelektualistów. W końcu jeden z nas nie wytrzymał. Z powodu niepowodzeń i tęsknoty do ojczyzny popełnił samobójstwo, wieszając się na moście. Zostaliśmy tylko we trzech, klepiąc ciężką biedę. Marząc o lepszym jutrze, poznałem tancerkę, którą pokochałem bez reszty. Była to cudowna kobieta. Niewielkiego wzrostu, drobnej budowy ciała i o pięknych czarnych włosach. I te jej błękitne oczy... każdy by się w niej zakochał! Jednak nasze szczęście nie trwało długo. Pewnej zimy zachorowała na zapalenie płuc, którego nie udało się wyleczyć. Pełen żalu do Boga i całego świata postanowiłem wyjechać z tego miasta. Wyruszyliśmy we trójkę, każdy z rewolwerem przy boku na... zachód.

**Rok 1870. Teksas.** Wtedy to był jeszcze naprawdę dziki zachód... ale od początku. Nasza podróż konna trwała parę ładnych tygodni. Po drodze nic szczególnego nam się nie przytrafiło, prócz kilku mocnych drinków w przydrożnych barach i kilku dziwek napotkanych po drodze, które szukały zarobku by podtrzymać swą marną egzystencję. Szczerze mówiąc, mieliśmy już dość wielkich miast. Postanowiliśmy omijać z daleka Huston, Dallas i San Antonio. Któregoś dnia spotkaliśmy na swej drodze trzech kowbojów, przemierzających się

ze swoim bydłem. Poprosili nas o pomoc w dotarciu do Dallas. Ja, żądny przygód chciałem jechać dalej na zachód do odległego stanu zwanego Kalifornią. Jednakże nikt nie podzielał mego zdania, więc ustąpiłem. Tymczasem pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Nie dość, że każdy z nas dostał swoją dolę za pomoc, to w mieście tym stało się coś o wiele ważniejszego. Poznałem tam pewnego emigranta z Niemiec o żydowskich korzeniach. Był to Levi Strauss. Facet ten przekonał mnie i jednego z moich kompanów do wyjazdu do San Francisco i założenia tak przedsiębiorstwa produkującego szczególnego rodzaju spodnie, tak zwane „dżinsy”, które nie wiadomo czemu zyskiwały coraz większą popularność w tym kraju. Dla mnie były one nie do przyjęcia. Może i wygodne, ale niebieskie i z dziwnego materiału. Jednym słowem – nie dla mnie, ale interes mógł się udać. Po pożegnaniu z towarzyszem, który postanowił zostać, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Muszę przyznać, że do tego momentu bardzo tęskniłem za swymi rodzinnymi stronami. Rozmyślając o polskich kobietach, wódce i krajobrazie spędzałem wszystkie wieczory. Czy moja matka jeszcze żyje? Co z Polską? Co z rodakami? Informacje, które do nas docierały były bardzo szczątkowe, niestety...

**Rok 1875.** Nasz wspólny biznes kręcił się całkiem dobrze, by nie powiedzieć wyśmienicie. W końcu wszystko, co mówili ludzie o tym kraju możliwości i spełnieniu marzeń, stało się faktem. Szczęście naprawdę mi sprzyjało, nawet moja małżonka była niezwyklej urody. Była ona córką hiszpańskich osadników, a więc kobietą z równie gorącym temperamentem jak i ja. Mieliliśmy trójkę wspaniałych dzieci. Jednak każde z nich z wyjątkiem najmłodszego syna, który miał przejąć po mnie interes, rozjechały się po tym jakże wielkim kraju. Ale o tym nieco później...

**Rok 1880.** W tym czasie odwiedziłem Alaskę, którą Stany Zjednoczone kupiły od Rosji. Ale jako że większość Amerykanów uważa, że wygrali ją w karty, trzymajmy się tej wersji. Region ten, choć zimny, w jakimś stopniu przypominał mi ojczyznę. A szczególnie polowania na niedźwiedzie, których odbywało się mnóstwo. Wracałem wówczas myślami do polowań z wujem i do matki czekającej na nas z obiadem.

**Rok 1885.** Żyłem w tym kraju 20 lat, a cały czas mnie zaskakiwał. Szczerze mówiąc, trudno było mi nadążyć za tym światem przemian. Ameryka idzie cały czas do przodu, nigdy się nie zatrzymuje. Rozwija się w przerażającym tempie, pewnie kiedyś będzie największym imperium na świecie. W niedługim czasie przegoni Zjednoczone Królestwo, nad którym słońce nigdy nie zachodzi. Jako przedsiębiorca rozwijałem się i ja produkując te „zadziwiające spodnie”, które swoją popularnością opanowały prawie wszystkie stany. W hierarchii społecznej także udało mi się awansować. Byłem zapraszany na ważne uroczystości w mieście, bankiety, bale i przyjęcia. Mając wysoką pozycję, nie zapomniałem o swoich rodakach, którym starałem się pomóc, na ile było to możliwe.

**Rok 1895.** Jestem już starym człowiekiem i pewnie niedługo pożyję. Trzeba kończyć tę krótką historię mego życia. Postanowiłem opisać swoje dzieje, aby pozostał po mnie choć maleńki ślad. Nie jestem pisarzem, ale może ktoś w przyszłości przeczyta moją historię. Może któreś z moich wnucząt, może pasjonat historii za jakieś 100 lat. Tego nie wiem, ale mam nadzieję, że ktoś przeczyta skromną historię imigranta z dalekiego kraju.

Jednak tak zupełnie na koniec wspomnę jeszcze o mych dzieciach. Najmłodszy syn rzeczywiście kształcił się u mego boku, aby kiedyś przejąć po mnie interes. Natomiast moja córka przeprowadziła się do miasta, do którego ja kiedyś dopłynąłem – Nowego Jorku. Pisze tam powieści o człowieku zwanym Jesse James, który dla jednych był bohaterem, dla innych zaś bandytą. Z kolei mój najstarszy syn przeniósł się do Los Angeles, a w zasadzie niedaleko miasta. Kupił ziemię zwaną dziś Hollywood i założył tam ranczo. Dziwi mnie wielce, dlaczego po kilku latach jeszcze nie odsprzedał jej biznesmenowi, który oferuje mu ogromną sumę. Myślę, że kiedyś ją odsprzeda i wtedy będzie mógł spełnić swoje marzenia. A przy okazji spełni też marzenia tego człowieka, który tak o tę ziemię zabiega. Ciekawe, co w niej takiego jest... niestety chyba nie będzie mi dane się tego dowiedzieć...